Ner 39. Kraków, 30go Września. 1861.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	6 zł.	—	c. w. a.
Półrocznie .	3 „	—	
Kwartalnie .	1 „	50	„ „ „
Miesięcznie .	— „	50	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	10 zł.	20	c. w. a.
Półrocznie .	5 „	10	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	55	„ „ „
Miesięcznie .	— „	85	„ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . .	7 zł.	20	c. .a.
Półrocznie .	3 „	60	„ „ „
Kwartalnie .	1 „	80	„ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . .	11 zł.	40	c. w. a
Półrocznie .	5 „	70	„ „ „
Kwartalnie .	2 „	85	„ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.

Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.

Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**

Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY.

Z dniem 1wszego Października b. r. rozpocznie się drugoroczny bieg naszego *Pisma*, **Płci Pięknej** wyłącznie poświęconego.

Zdania, które nam się i czytać i słyszeć o **Niewieście** dały, niepowodują nas do zmi any planu, któryśmy ułożyli przed rozpoczęciem pisma, i którego trzymaliśmy się dotychczas.

Uznając, że Niewiasty są połową naszego rodu, wywierającą przeważny wpływ nie tylko na drugą połowę, ale i na cały rozwój historyczny ludzkości, staraliśmy się prowadzić do jasności umysły Niewiast, do poświęceń Ich serca, do szlachetności całe Ich jestestwo.

Umieszczaliśmy i nadal umieszczać będziemy w naszem Piśmie artykuły o wychowaniu, poezye, obrazy i opowiadania historyczne, biografie sławnych niewiast z naszej i powszechnej historyi, tradycye obyczajów i zwyczajów przodków naszych, powieści obyczajowe i humorystyczne, rozprawy estetyczne, rozbiory dzieł znakomitych, wiadomości z literatury i jej dziejów z uwzględnieniem szczególnem zasług autorek — sprawozdania z dziedziny sztuk pięknych, wiadomości z działu nauk przyrodzonych i rzeczy odnoszące się do gospodarstwa domowego, ogrodowego itd.

Niepodobna nam twierdzić, żeśmy wszystkie tutaj poszczególnione działy zarówno rozwinęli, wszakże możem upewnić, że nam nie braknie usiłowania, aby w przyszłości uczynić, czegośmy dotąd nie zdołali.

Staraniem naszem będzie nietylko pozyskać współpracowników dzielnych dla przedmiotów specyalnych, ale i zastęp współpracowników dla przedmiotów filozoficzno-historycznych i belletrystycznych pomnożyć, chociaż go już dzisiaj dosyć poważnym nazwać możemy, skoro nam wolno wymienić jako do niego należących: Anczyca Władysława, Autora rozprawy o językach wschodniej Galicyi, Balińskiego Karola, Bałuckiego Michała, Goszczyńskiego Seweryna, Ilnickę Maryą, Jaroszewskiego Zygmunta, Kłobukowskiego Antoniego, dra Kremera Józefa, hr. Koziebrodzkiego Władysława, dra Libelta Karola, Lenartowicza Teofila, Lubowskiego Edwarda, L. R., ks. Michnę Wojciecha, dra Pola Wincentego, Szajnochę Karola, ks. Serwatowskiego Walerego, Szujskiego Józefa, Sygmę, Siemieńskiego Lucyana, Syrokomlę Władysława, Turskiego Jana Kantego, Wilkońską Paulinę, hr. Wiesiołowskiego Franciszka, Ziemięcką Eleonorę i t. d.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6	Zł.	—	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	—	„ „
Kwartalnie	1	„	50	„ „
Miesięcznie	—	„	50	„ „

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7	Zł.	20	cent. w. a.
Półrocznie	3	„	60	„ „
Kwartalnie	1	„	80	„ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku zł. 4 c. 20 w. a. wynoszą), w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się.

Jeżeli ogół Prenumerujących życzyć sobie będzie a liczną prenumeratą nas poprze, natenczas, bez podwyższenia ceny Pisma naszego, będziemy do niego dołączać wzory robótek niewieścich, także mody polskie żeńskie i męzkie.

Prenumerować można rocznie, także na pięć kwartałów t. j. do ostatniego grudnia 1862 r. półrocznie, ćwierć-rocznie, a w miejscu i miesięcznie.

Prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe tak w Cesarstwie Austryackiem jak i w Królestwie Polskiem, także wszystkie dobrze znane Księgarnie w kraju i zagranicą, którym się ustępuje 10 % od ceny miejscowej w Krakowie.

Chcąc uczynić pismo pożyteczniejszém w kierunku praktycznem, zniżamy cenę od inseratów na 4 centy od wiersza petytowego za pierwsze umieszczenie, a na 2 centy od każdego następnego umieszczenia. Za stempel rządowy dokłada się za każdą razą 30 centów.

Pieniądze prenumeracyjne i za inseraty adresują się do *Redakcyi Niewiasty w Krakowie;* wszelkie posyłki i listy należy *frankować.* Listy reklamacyjne (nieopieczętowane) są wolne od opłaty.

Panowie Pocztmistrze i Ekspedytorowie poczt, którzy wykażą, iż uzbierali 10 prenumerat, otrzymają egzemplarz *gratis.*

O spieszne zamówienia tem bardziej upraszamy, że z powodu *debitu,* który otrzymaliśmy do Królestwa Polskiego, łatwo mogłoby braknąć numerów dla spóźniających się.

W Krakowie dnia 12go Września 1861 r. REDAKTOR.

MARYA LESZCZYŃSKA,

Obrazek historyczny

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dokończenie).

XII.

Zagłębiając się więcej w życie wewnętrzne i domowe Maryi, znaleźlibyśmy niezawodnie więcej szczegółów interesujących uczucia czysto kobiece, bo Marya była ich najczystszem odbiciem, atoli i tę uwagę zrobić musimy, że Marya jako królowa nie stoi bynajmniej tyle pomnikowo, iżby nam metalem swoim, czy formą wryła się w pamięć jako postać historyczna; — jest ona raczej tylko ową osią, około której wiły się burzliwe, pełne znaczenia wypadki, powiadamy „około której“ lecz nie przez którą. Dla tego osobę jej staraliśmy się wziąść tylko za tło, na którem swobodnie, skreślićby można było krótki przebieg wypadków europejskich, ściśle wiążących się z Polską.

Sądzących jednak dzisiaj stanowisko Maryi ze względów politycznych, najsamprzód nas uderza jej dziwna obojętność we wszystkiem, co się tyczyło spraw państwa, lub nawet urządzenia królewskiego dworu. Byłoż to dobrze, lub źle? — Wchodząc w motywa, znajdujemy je w usposobieniu wrodzonem Maryi, usposobieniu wzmocnionem jeszcze przez odebrane wychowanie i w wypełnianiu ścisłem rad ojca, danych w wyż zamieszczonej instrukcyi. Ojciec jej mówił: *oddalaj się od tego wszystkiego, przezco byś mogła być przymuszoną wdać się w interesa rządów państwa.* Marya wysłuchała to z religijnem posłuszeństwem, tem ochoczej, że może za krwawo odbiły się w jej sercu koleje ojca, z których mogła osądzić, że panowanie i tron nie dają szczęścia. Nam się zaś zdaje, że lubo drogi Opatrzności są stale naprzód wytknięte, toć przecie gdyby Marya stała u steru rządu, a przynajmniej cokolwiek więcej na maszynę rządów wpływała, byłaby, popierając silnie powtórną elekcyą ojca w Polsce, tyle dobrego sprawiła, iżby złamała upór państw protegujących swego kandydata mimo woli narodu, przezcoby najskuteczniej przeszkodziła i dalszym planom zaborczym. Gdyby zaś to mniemanie hipotezą tylko było, to zawsze udziałem w sprawach państwa zdołałoby stworzyć pewne instytucye, któreby daleko silniej poparły jej szlachetne i dobroczynne zamiary, aniżeli wytężenia wszystkich środków, rozbijające się właśnie o tę pojedyńczość sił naprożno. Tak np. Marya poświęcała skarby wszystkie, które posiadała, dochody królewskie swoje i sumy, które jej ojciec już jako Książę Lotaryngii darowywał, na zaradzenie nędzy ludzkiej, lecz czyż wydawanie choćby milionów rocznie dla ochronienia od nędzy ubogich w państwie jest w stanie radykalnie zaradzić tam, gdzie te miliony nie idą ręka w rękę z instytutami, w tym celu uorganizowanemi? Najczulsze serce, najhojniejsza ręka jeszcze tu nie wystarcza — bo sercem powinna kierować rozwaga, a hojnością umiejętność umieszczania i procentowania wydatków i dochodów; dla tego ciągłe ofiary Maryi są pomnikiem jej wspaniałej i szlachetnej duszy, lecz przypominają nam czerpanie wody sitem. Powtarzamy przeto, że tylko zmniejszenie podatków, zaprowadzenie instytucyj stósownych mogło pomódz radykalnie ubóstwu.

Idąc dalej, kto wie czy Marya ujàwszy ster władzy w rękę, niebyłaby odwróciła wiele łez, klęsk i nieszczęść narodu, co nam się tem prawdopodobniejszem wydaje, że król Ludwik był człowiekiem dającym się nadzwyczaj łatwo powodować. Owładnąwszy jego osobę, byłaby się ustaliła raz na zawsze jako królowa i pani, a więc nie dałaby powstać owej strasznej hydrze zepsucia, co biorąc swój początek od najwyższej króla otaczającej sfery, tak szkaradnie ukształtowała społeczeństwo; — trzymając w karbach moralność dworzan i szlachty, ocaliłaby była naród! Tymczasem uczyniła przeciwnie; obrawszy sobie inną zupełnie drogę, usunęła się jak najdalej, schowała się w najgłębszy kącik, zkąd okiem zaszłem krwawą łzą patrzała na upadający zwolna świat. Zamiast odważną piersią królewską wstrzymać nawał powracającego poganizmu, rozkrzyżowała tylko boleśnie słabe kobiece ramiona, usiłując miłością chrześciańską przygarnąć błądzących znów do stóp Chrystusa. Niestety — nadarmo!

Życie jej całe, z którego dzień każdy pojedyńczy biorąc, dałoby się wysnuć wiele czynów godnych naśladowania, bo pełnych miłości chrześciańskiej, ma dla nas Polaków tę jeszcze wartość, że upływało z ciągłą pamięcią o pierwszej ojczyznie. Mówiliśmy już bowiem, że przy ręcznych robotach nucić była zwykła psalmy Kochanowskiego, zachowywała nawet modę polskiego

ubierania się, pisywała listy polskie do ojca podpisując się na nich *Marychna*, trzymała przy sobie dwóch księży polskich, z których jeden Trąbczyński był jej spowiednikiem; nareszcie cały majątek w Polsce po ojcu odziedziczywszy, oddała na uposażenie tych XX. Misyonarzy, którzyby w tym kraju po wsiach i miastach chodząc, lud w obowiązkach wiary śtej utwierdzali. Są to wszystko dowody miłości ojczyzny — ojczyzny, którą mało znała, która jej ojcu tyle goryczy przysporzyła.

Przytoczymy tu jeszcze kilka myśli i zdań, cechujących dokładnie jej rozum i wykształcenie, tak np.:

1) Nigdy człowiek nie jest bogatszym w oczach Boga jak wtenczas, gdy najbardziej czuje nędzę.

2) Ten, który się obawia zgłębić swe sumienie, boi się odwiedzić najszczerszego z swych przyjaciół.

3) Cenić się podług dostojności i bogactw, jestto rozumieć, że postument nadaje rzeźbie wartość.

4) Samotność dla niewinności tylko może mieć powaby.

5) Kobiety, o których dobrze mówią po śmierci, są te, o których najmniej mówiono za życia.

6) Pochlebcy, przypominający nam cnoty, których nie mamy, nie tak są niebezpieczni, jak ci, którzy chwalą nasze błędy.

7) Gdy śmierć odrzuci odemnie orszak dworzan i ogołoci z ubiorów, tem tylko naówczas będę, na com sobie zasłużyła mojemi czynami.

8) Kto dla miłości boskiej daje jałmużny, niepowinien się obawiać niewdzięczności.

9) Błędy religijne, wszczęte przez mężczyzn, rozgłosiły się przez kobiety; bo chcąc jaki błąd uczynić podobnym do prawdy, potrzeba dowcipu, a zaś, aby go utrzymywać, trzeba uporu!

10) Tyle tylko powinniśmy się zastanawiać nad błędami drugich, ile z nich korzystać możemy dla pozbycia się naszych własnych.

11) Dobre sumienie, to najlepszy przyjaciel.

Te zdania cechują nietylko rozum i ukształcenie, ale i pewną wyższość ducha, powstałą właśnie z owej kontemplacyi nieustannej wewnętrznej, w którą ja popchnęły smutki i nieszczęścia.

Zdarzenia zaszłe po jej śmierci nieobchodzą nas tu więcej — należą one do historyi, lecz za życia jeszcze Maryi złamała nad nimi Nemezis swą laskę. Późniejsze cierpienia całego narodu, teraz jeszcze, przed swojem wybuchnięciem zadrgnęły nieraz bolesnem przeczuciem w sercu kobiety sądzącej najtrafniej losy ludzi i narodów z czysto religijnego stanowiska.

Na tym stanowisku utrzymała się ona do ostatka — z krzyżem i miłością wstąpiwszy na tron, i z niemi zstąpiła do grobu. Życie było dla niej rzeczywistym szczeblem do innego życia, bo było jej tylko łzą i trudem — a modlitwa jedyną tarczą, osłodą i nadzieją. Niechaj królowie kochają tak Boga i lud swój, niech tak myślą o nim, czynniej tylko działają, a gdy działać nie mogą, niech tak się modlą i żebrzą zmiłowania Boskiego, a mówiąc o ich żywocie zakończymy tem przypomnieniem słów Stefana Garczyńskiego, któremtutaj postać Maryi żywo w pamięci uwiecznić chcemy:

„Bo moc duchów złączonych czas i miejsce wzruszy,
Bo dźwięk serc w swym przelocie wszystko z drogi (spycha,
Bo nad zimny słów odgłos — *czulszy język duszy,*
Dalej sięga niż głosem, kto myśli, kto wzdycha."

KONIEC.

KRAKOWIANCE.

Chciałbym, chciałbym, nim natchnienie skona
W tych otchłaniach ciemnych mego łona
Pieśnią wzbić się jak gwiazda w niebiosa,
W pamięć twoją na czas długi, duży.
Chciałbym śpiewać, ale śpiewać wstydno,
Przy tym jęku, co nad ziemią biedną
Tak dziś dzwoni wśród krwi, co się kurzy,
Wśród rozpacznych pacierzy, przy szmerze
Łez kapiących smętnie na pacierze.

Nie na dobie pieśń utkana pięknie
Z tęczy, blasków, westchnień, marzeń duszy;
Dzisiaj grzechem lutnia, co nie pęknie
Krzykiem z bolu, że aż groby wzruszy.
Bo dziś lutnią naszą rozstrojony
Płacz narodu — dziś męczeństwa tony,
To wtór pieśni: więc przy onym wtórze,
Wygram dumkę smutną polskiej córze.

I o tobie nucąc pieśń, o miła!
Tak cię smutkiem spłączę z ziemią biedną,
Że uczujesz, żeś się z łez zrodziła —
Że ty i ta ziemia toście jedno.

Skarby nieba leżą w głębiach duszy!
Więc, jeżeli dziewczę je rozprószy,
To świętości wszystkie uschną, zbladną,
I przekleństwem na dno duszy padną;
I zostaną jej śmiejące usta,
Zabaw wrzawa i dusza czcza, pusta.

W twoje oczy patrząc, wierzyć muszę,
Że ty dziewczę nie pustą masz duszę —
Więc się ubierz w żałobę i łezki,
I bądź smutna — jako kwiat z mogiły,
I bądź dobra — jak anioł niebieski,
I nie marnuj twoich oczu siły,
I nie marnuj słów, lecz jak płonąca
Lampa pal się miłością swej ziemi,
I grzej zimnych, i świeć nad ciemnemi!
Bądź modlitwą z modlitew tysiąca,
I bądź płaczem wśród głośnego łkania,
Bądź westchnieniem wśród ludu wzdychania,
Pokutnicą za praojców grzechy —
I aniołem nadziei, pociechy!

Patrzę, patrzę w ciemne oczy twoje,
Bo mi kiedyś maleńkiej dziecinie
Zaświeciło takich oczu dwoje.
O! tej chwili pamięć nie zaginie:

Na mogile Kościuszki siedziałem:
Słońce gasło za klasztorem białym,
Jak ptak krwawy skrzydłami promieni
Trzepotało się po łąk zieleni,
I po chmurach — z wież dzwoniły dzwony.
Kraków modlił się do snu niańczony
Szmerem Wisły, i w Nadwiślu było
Tak spokojnie, uroczyście, miło,
Niby w raju jakim. W taką chwilę
Zobaczyłem dziewczę na mogile
Z matką starą — a twarzyczkę miała
Taką białą, jak konwalia biała,
Włosy jasne w strumieniach warkoczy
Na żałobę spadały — a oczy.......
Niedojrzałem oczu, bo długiemi
Je rzęsami nakryła, ku ziemi
Patrząc. I gdy stanęła na górze
Na krzyż padła, ustka nurząc w pyle
Całowała prochy na mogile,
Bohaterów krwią skropione szczerze,
I całując mówiła pacierze;
I wzruszenia łzy spadały duże
Z rzęs dziewczyny, że mogiła cała,
Zdało mi się od wzruszenia drżała.
Wstała — rzęsy jeszcze drżące łzami
Wzniosła w górę i błysła oczami —
I ujrzałem dwa nieba w tym wzroku,
I dwie gwiazdy w tęsknoty obłoku.
„Matko! matko! jakież szczęście mają,
Co tu rodzą się i umierają.“
I potem już nic, nic nie mówiła,
Jeno w niebo cała się wpatrzyła,
Wtedy oczy jej mówiły za nią,
O zachwycie, co w niebo podnosi,
O boleściach, co jej serce ranią,
O modlitwie, którą Boga prosi;
I po ciemnych oczach łza się wiła,
I w tych oczach cała dusza była;
I ta oczów potęga tak niema —
A wymowna, tonami dziwnemi
Wielkie bez słów śpiewała poema
O przeszłości — przyszłości tej ziemi.
Takie serca wśród bolów zawiei
Uczą słabych miłości, nadziei —
Takie oczy w serca ogniem godzą —
Bohaterstwo w młodych sercach rodzą.

Ty jej oczy masz — więc wierzyć muszę,
Że masz także czarującą duszę —
Że twe życie, o ty moja droga!
Poświęcone dla Polski i Boga.

M. B.

CIOCIA TEKLA.

Szkic współczesny

przez

W. B. K.

(Dokończenie).

— O gdyby to było prawdą! — rzekła po cichu.

— Tak dziecię moje! on ciebie kocha, on godzien twej ręki, a ty chcesz iść za Ernesta.

— Ależ wola mamy! — i na to wspomnienie ścisnęło się serce Jadwisi...

— To się wszystko przemieni!... tylko mi powiedz, powiedz otwarcie, z całą szczerotą, czy związek z Józefem spełni marzenia twoje, czy idąc za niego będziesz szczęśliwą.

— Będę! — głosem cichym, ale tak stanowczym odrzekła Jadwisia, iż o prawdzie odpowiedzi Tekla wątpić nie mogła.

— Więc nie trać nadziei! Bóg cię nieopuści, biorę wszystko na siebie i wszystko przemienię.

Tekla przekonawszy się o skłonności Jadwisi, przekonawszy się, że przyzwolenie z jej strony na związek z Ernestem było tylko skutkiem głębokiej miłości dla matki, ułożyła cały plan działania, postanowiła iść drogą prostą i otwartą, bo tylko taką iść drogą umiała. Napisała jeszcze tego samego dnia list do Józefa, aby przyjechał do Podgórny, lecz list w Łozinach Józefa nie zastał, wyjechał na dłuższy czas z domu i nikt niewiedział kiedy powróci. Tekla domyślała się celu tej podróży, po śmierci Zygmunta na jego ramiona spadł przeważnie ciężar rozbudzania ducha i udzielania wiadomości z zagranicy. Niezmieniło to bynajmniej zamiarów Tekli, bo zbyt dobrze znała Józefa, aby mogła przypuszczać jakąkolwiek zmianę w jego uczuciach. Udała się więc najprzód do Leona, który, jak wiemy, od niejakiego czasu przesiadywał ciągle w trephauzie, przy stóletnim kaktusie.

— Przypatrz się Teklo kochana i osądź czy kaktus kwitnąć nie będzie — rzekł Leon wesoło — chociaż ogrodnik utrzymuje inaczej, ja przekonany jestem...

— Mój drogi Leonie — przerwała Tekla — bardzo ważny przedmiot sprowadza mnie tutaj, chciałabym kilka słów z tobą pomówić.

— Z największą chęcią jestem na twoje rozkazy. Bardzo się cieszę z sposobności, gdyż mam również do pomówienia z tobą o wielu rzeczach, chciałbym już raz uregulować interesa i dla tego...

— Przedmiot, który mnie tu sprowadza, wymaga całej uwagi twojej, przekonaną jestem iż, wysłuchawszy mnie, podzielisz boleść moją i ten krok mi przebaczysz.

— Ale o cóż idzie moja droga? — niespokojnie spytał Leon.

— Idzie tu o przyszłość dziecka, które wszyscy zarówno kochamy, które tak godne jest miłości naszej, idzie tu o szczęście Jadwisi.

— Przecież los Jadwisi już zapewniony! będzie tak szczęśliwą z Ernestem.

— Ona niekocha Ernesta — przerwała mu Tekla.

— Nie kocha? — spytał hrabia, spojrzawszy niedowierzająco na siostrę — to być nie może, jeszczem ją kiedyś o to pytał i niezaprzeczyła mi.

— Tak jest, nie kocha Ernesta, a jeżeli niesprzeciwia się postanowieniu Henryki, to dla tego tylko, iż szanuje wolę matki; lecz nienależy od niej wymagać tego poświęcenia.

— Co!... ale jakże?.... moja droga Teklo, jakże ona może go niekochać, Ernest ma tyle zalet... że nie rozumiem...

— A jednakże tak jest, Ernest nieodpowiada ani jej skłonnościom, ani jej marzeniom.

— Przecież tak świetną będzie miała przyszłość, lepszej partyi zrobić nie może nigdy.

— Czyż świetność partyi stanowi szczęście mój Leonie? a jeżeli związek ten byłby źródłem boleści dla Jadwisi, gdyby ją wprowadzał w świat nieodpowiedni jej skłonnościom, gdyby jej ranił serce na wieki, czybyś chciał dłoń przyłożyć do nieszczęścia twego dziecka?

— Więc co robić? co robić?... o tem związku już wiedzą wszyscy... — mówił pomieszany Leon bawiąc się kwiatem rododendronu — niewypada zrywać, cóż by świat powiedział.

— Więc dla chwilowej opinii świata miałbyś los poświęcać dziecka?... nie Leonie ty tego niezrobisz, to niebyłoby godnem poczciwego twego serca...

— Martwi mnie to i gniewa... czemuś mi tego nie powiedziała wcześniej, czemu Jadwisia od razu nie przyszła do mnie. To zmienia stanowczo wszystkie plany moje, niewiem prawdziwie co robić.

— Zerwać związek z Ernestem, jest to jedyna droga,

— Ależ dla jakich przyczyn?... — to niełatwo...

— Dla jakich?.... zdaje mi się dla najważniejszych, jakie tylko być mogą.... że Jadwisia go nie kocha.

— Lecz tego nikt nieuwierzy! Będą się śmiać z nas...

Tekla spojrzała surowo w twarz brata, i z godnością przydała:

— Więc śmiechy obojętnych ludzi przeważą krwawe łzy dziecka?

— Ale nie... nie... zupełnie... to się może da wszystko jeszcze ułożyć... z czasem przyzwyczai się do Ernesta, to tak naturalne...

— A gdyby to już było niemożebnem...

— Tego już za wiele, nie widzę sposobu wyjścia z tego labiryntu.

— Podaję ci środek mój Leonie, zerwać z Ernestem, bo wierzaj mi, Jadwisia byłaby z nim nieszczęśliwą, usposobienia ich są zupełnie różne, niezgodne zupełnie charaktery. Tylko spojrz jak Jadwisia od dni kilku zmienioną, znikł uśmiech swobody z jej ust, straciła tę wesołość, którą ożywiała cały pałac, a ileż razy zastałam ją zalaną łzami — o tak, ona się poddaje tylko woli matki, poddaje się z szlachetnością dobrego dziecka, lecz poświęcenia podobnego nikt nie może wymagać, bo poświęcenie to nad jej siły.

— Przerażasz mnie moja Teklo, tak dalece niezastanawiałem, się nad tem... tak wierzę że związek ten byłby źródłem nieszczęścia dla Jadwisi?... lecz co robić, stawia mnie to jeszcze w trudniejsze położenie...

— Przecież o twe dziecko idzie?...

— Henryka związek ten ułożyła, ona zachwyconą jest Ernestem, więc nie da sobie wytłómaczyć tak łatwo, już ułożyliśmy wszystkie dalsze projekta... mieliśmy wyjechać na zimę do Włoch, bo wątpię, bym mógł przepędzić zimę w Podgórny, a to staje tak na zawadzie. Nie, — rzekł po chwili Leon — niemogę, mimo najszczerszej chęci, mieszać się do tego... niech Henryka zdecyduje. Niepojmuję co Jadwisia może mieć naprzeciwko Ernesta... a może to zbytnia troskliwość twoja. Ernest jest tak dobrze...

— Leonie, błagam cię... niewahaj się w tak ważnej chwili... i zerwij, zerwij ten związek...

— Nie moja Teklo, nie mogę się mięszać do tego, niech Henryka sercem matki rozstrzyga...

W tych słowach ostatnich Leon może mimowolnie mocno zadrasnął kochające serce Tekli, dla tego odrzekła z wzruszeniem:

— Wiem, że matka ma większe prawa, niżeli ja do rządzenia losem Jadwisi... lecz wypowiedzieć muszę to, co mi serce każe... jam wychowała Jadwisię, jam nad nią od lat najmłodszych czuwała, więc czuję obowiązek święty, aby zatrzymać wiszące nad nią nieszczęście... i ty mi Leonie tego za złe brać nie możesz...

— Przepraszam cię siostro kochana, żem cię mimowoli może obraził, o ja nie wątpię o twojem przywiązaniu do Jadwisi, dałaś już tak liczne tego dowody. I wdzięcznym ci będę do grobu za twą opiekę dla niej, lecz pojmujesz moja droga, że nie mogę Henryce zaprzeczyć prawa do decydowania o losie Jadwisi... To rzecz tak naturalna. Że związek uśmiecha się do nas, to więcej jak pewna, przechylałem się do niego stanowczo; lecz kiedy powiadasz, że Jadwisia niema do Ernesta najmniejszego przywiązania... a to przymuszać jej nie myślę, lecz ostatnie słowo niech wypowie Henryka. — Leon jak widzimy błąkał się w zaklętem kole, a brakowało mu energii, żeby przeciąć koło, i wyjść zwycięzko... niemiał on do tego ani dosyć woli, ani dosyć hartu!... Poznała to Tekla, i chociaż zawiedziona w zamysłach swoich, postanowiła do końca rąk nieopuszczać, i, chociaż już bez pomocy Leona, zażegnać burzę nad czołem Jadwisi, dla tego rzekła po chwili:

— Więc związku tego już przynajmniej popierać nie będziesz.

— Nie!... nie!... mieszać się do tego zupełnie nie myślę, chociaż przykro mi...

— Dziękuję ci Leonie — smutnie kończyła Tekla — idę do Henryki, a mam w Bogu nadzieję, że ją przekonam, i że związek ten, wróżący tyle boleści biednemu dziecku, do skutku nie przyjdzie.

Hrabia skwaszony tą rozmową powrócił do botanicznych zajęć, niespomniawszy nawet o interesach, które chciał ułatwić. A interesa te były naglące, a podróż do Włoch tak nęciła czarownie, nie dziwić się, że biedny hrabia niewiedział co począć z tą nową przeszkodą!...

Tekla, chcąc jak najprędzej zdjąć ciężar z serca Jadwisi, udała się wprost do hrabiny. Po zaanonsowaniu się według form etykiety, czekała Tekla chwilę na hrabinę, która weszła w dziwnie cierpkim i złym humorze.

— Wracam od Leona — rzekła Tekla po chwili — byłam u niego z bardzo ważnego powodu. Leon przychylił się do moich życzeń, sądzę, że i ty Henryko nie będziesz przeciwną...

— Proszę cię... o co idzie?...

— O los Jadwisi. Nie byłam z początku przeciwną zupełnie związkowi jej z Ernestem. Dziś przekonawszy się o uczuciach Jadwisi, czuję obowiązek sumienia wyjawić moje zdanie.

Hrabina przyjęła marmurową obojętność i z zupełną swobodą bawiła się koronką batystowej chustki.

— Jadwisia nie kocha Ernesta, związek więc ten nie zapewnia jej szczęścia.

— Więc... — spytała chłodno hrabina.

— Więc przychodzę do ciebie, przychodzę z całą otwartością jako do matki, aby wyjawić ci położenie Jadwisi, i błagać byś związek ten zerwała.

— Nie widzę powodu — zimniej dodała hrabina.

— Ależ uczucia Jadwisi!...

— Wiedziałam o nich i one w niczem postanowienia mojego niezmieniają.

— Henryko!... to być nie może, abyś ty mówiła z przekonania, przecież związek taki na uczuciach opierać się tylko może, inaczej...

— Ernest jest partyą odpowiednią dla Jadwisi, a uczucia?... uczucia z czasem same przyjdą, nie można zważać na dziecinne kaprysy.

— Ty to kaprysem nazywasz?... ależ zastanów się, że tu idzie o los, o szczęście twego dziecka. Związek ten bez wzajemności zabije Jadwisię...

— To egzaltacya z twej strony, kochana Teklo...

— Egzaltacya?... o nie... nie, ja znam Jadwisię, jam ją wychowała od lat dziecinnych, znam jej serce, i wiem, że nie Ernest jest w stanie jej szczęście zapewnić.

— A! nierozumiem zupełnie dla czego?... niepojmuję czego Jadwisia może żądać więcej?

— Czego?... o! tak prawda, na pozór zda się, że Ernest posiada wszystko, co zapewnia szczęście, a jednak on niewzbudził w sercu Jadwisi tych uczuć tkliwych a szlachetnych, tych wzniosłych uczuć, które jedne są tylko w stanie trwałe zapewnić szczęście...

— Egzaltujesz się moja droga — z zimnym uśmiechem odparła hrabina — wszystko to bardzo piękne w teoryi, w romansie, lecz w życiu naszem zupełnie zbyteczne. Moja droga, i ja kiedyś byłam młodą, i znam wagę uczuć, znam ich doniosłość, lecz to nieprzeszkadza zupełnie, żeby się niemożna kierować rozwagą i rozsądkiem. Sądzę, że Jadwisia ma na tyle zaufania we mnie, iż wierzy, że związek ten dla jej szczęścia tylko ułożyłam, dla tego, chociaż z początku przeciwną była, w końcu przystała, rozsądek wziął górę nad dziecinnemi marzeniami.

— O! jak ty nieznasz Jadwisi Henryko!... sądzisz, że Jadwisia z przekonania przychyliła się do tego związku, a ona gwałt zadaje sercu, poświęca się, aby dogodzić twej woli.

— Niewzrusza mnie to zupełnie — odparła metalicznym głosem hrabina — dziś się jej to wydaje poświęceniem, a potem będzie mi wdzięczną.

— Ale czyż możesz żądać od niej tak wielkiego poświęcenia, wyrokującego o całej jej przyszłości — nie Henryko! nikt tego wymagać nie może.

— Dla przyszłości jej poświęcenie to, jak nazywasz jest potrzebne, bo przyznam się kochana Teklo, iż życie, jakie pędziła tutaj Jadwisia, nieodpowiadało jej zupełnie. Ani te dobroczynności wszystkie, ani to bratanie się z ludem nie jest przeznaczone dla niej, jest to bardzo piękne, lecz po nad to jest inne życie, do tego życia zrodzoną jest Jadwisia, i wejść do niego powinna. Ernest wprowadzi ją w to życie, postawi ją na odpowiedniem stanowisku. I Jadwisia gdy pozna, że prócz Podgórny jest jeszcze świat inny, gdy pozna przyjemności tego świata, to pewnie go polubi, i śmiać się będzie z tych idylicznych romansów wszystkich, i wdzięczną mi będzie. Poświęcenie, które ci się zdaje tak wielkie, straci na tragiczności swojej, bo Jadwisia będzie bardzo szczęśliwą.

Tekla z boleścią słów tych słuchała, tem więcej, że słowa te wychodziły z ust żony jej brata, z ust matki Jadwisi...

— Umiem oceniać, kochana Teklo, twą dobroć dla Jadwisi — ciągnęła hrabina dalej — wdzięczną ci jestem za opiekę, lecz nie dziw się, że nie we wszystkiem podzielam twój sposób widzenia. Mamy w wielu względach zdania zupełne różne, ty inaczej na świat się zapatrujesz, nie myślę cię przekonywać, wiem, że byłoby to zbyteczną pracą, lecz żądam, abyś nawzajem zostawiła już mojemu doświadczeniu dalszy kierunek losu Jadwisi.

— Nie myśl — przerwała jej Tekla — abym w chęci przeprowadzenia moich wyobrażeń stawała na przeszkodzie temu związkowi, jeżelim tu przyszła, to powodowana prawdziwą miłością dla Jadwisi, żądam jej spokoju i szczęścia.

— Ja również dla jej szczęścia chcę, iżby poszła za Ernesta — i Jadwisia pójdzie... — kończyła hrabina.

Tekla z boleścią pochyliła głowę, łzy jej gwałtem cisnęły się do oczu, słuchając tego stanowszego wyroku hrabiny. Chwilę walczyła ze sobą, lecz głos wyższy, wewnętrzny, kazał jej prawdę do dna odsłonić.

— A gdyby Jadwisia kochała już kogo innego? — rzekła poważnie.

— Nierozumiem ciebie — blednąc odparła hrabina.

— Tak, gdyby uczucia jej zwrócone już były do kogoś, godnego jej ręki, do kogoś, któryby sercem i prawością swoją dawał pewną rękojmię jej szczęścia.

— *Ma chère*, niechcę przypuszczać nic podobnego, toby mnie skłoniło jeszcze więcej ku Ernestowi — zimno odparła hrabina, a na marmurowem jej czole, jak cień niepewny, przesunął się zmarszczek gniewu.

— Henryko boli mnie! boli mnie to mocno, iż niechcesz pojąć ani ocenić szczerej, otwartej mej mowy, że z uprzedzeniem sądzisz już każde słowo moje. Przyszłam do ciebie z całem zaufaniem, chcąc odsunąć od twego dziecka życie łez, życie cierni... O! wierzaj mi, że nad to wszystko, co w oczach twoich szczęście stanowi, jest świat wyższy jeszcze, świat prawdziwego szczęścia, a kto raz piersi nim swoje napoi, temu już nic niezdoła go zastąpić. Ja z doświadczenia mogę o tem mówić, jam w życiu mojem przebolała dużo, i zawodów doznałam dużo! a jednak, gdyby mi Bóg kazał raz drugi przejść to życie, szłabym tą samą drogą. Wierzaj mi, jam wychowała Jadwisię, znam jej głębokie usposobienie i powiadam ci, że ona z Ernestem szczęśliwą nie będzie, bo Ernest niezdolny jej pojąć ani ocenić, a choćby był zdolny, to Jadwisia go kochać niepotrafi, bo młode jej serce już bije dla innego.

Hrabina rzuciła się gniewnie, niecierpliwie szarpnęła koronkową chustkę, i żywo przerwała, nie mogąc oburzenia powstrzymać.

— Tego brakowało tylko! o to są skutki egzaltacyi twojej, to są skutki romantycznego wychowania. Przeczuwałam to nieszczęście... lecz nawet przypuszczać nie chciałam... o to okropne!... i któż jest godnym ręki Jadwisi w tej nieznośnej okolicy, kto ją tu mógł zająć?... to będzie moją śmiercią... — i w uniesieniu zakryła oblicze hrabina, wzburzone gniewem, i coś jak łza zaświeciło na krawędzi powieki.

— Uniesienie twoje przebaczam ci Henryko, bo jesteś matką Jadwisi — z powagą odparła Tekla — Jadwisia zajęła się kimś szlachetnym, kimś daleko wyżej stojącym od Ernesta, który gorącą czułością dla kraju, pracą i zasługami wart powszechnego szacunku, a nim jest Józef Liski.

— To twój ideał — impetycznie rzekła hrabina — to projekt ułożony przez ciebie.

— Nie - Bóg świadkiem, żem go nieukładała nigdy, żem go nigdy żadnem niepopierała słowem. O uczuciach Jadwisi dowiedziałam się teraz, i nieprzeczę, że z wielką radością, bo umiem cenić charakter pana Józefa, bo wiem, że on kocha prawdziwie Jadwisię od dawna, tylko tail przed światem uczucia swoje, może przeczuwając przeciwności jakieby mu czyniono.

— I niezawiódłby się... przeciwności te są i będą wiecznie jednakie dla niego. Pan Józef dowiódł tem tylko, że ma dużo zdrowego rozsądku... o tak... tego już za wiele, co za porównanie między Liskim a Ernestem, świat śmiałby się z podobnego wyboru. Liski, bez majątku z małem imieniem, ma być ową partya dla Jadwisi. Nierozumiem nawet moja Teklo, jak ty możesz coś podobnego mówić na seryo.

— Ja nie tak oceniam ludzi — odrzekła z godnością Tekla — Józef jest wykształconym i prawym człowiekiem, dobrym synem, ma szacunek i zaufanie w obywatelstwie, serce jego szlachetne i otwarte, jednem słowem wszystko przemawia za nim; że niema majątku... praca i oszczędność zastąpić go zdolne.

— Moja Teklo, widzę że konwersacya ta niedoprowadzi nas do żadnego rezultatu — zimno kończyła hrabina wstając z krzesła.

— Henryko! jeszcze raz cię błagam! zważ!

— Nie! nie!... to egzaltacya, niepotrzebna egzaltacya, zresztą Ernest ma już przyrzeczenie moje i cofnąć go nie mogę.

Tekla usłyszawszy te słowa, powstała również. Na twarzy jej, zwykle poważnej i pełnej dobroci, znać było walkę bolesną, walkę, która nią wstrząsała całą, w oczach łzy duże zabłysły, i w końcu rzekła głosem przytłumionym, a jednak pełnym siły i rezygnacyi.

— Więc odrzucasz wszystkie przedstawienia moje, poświęcasz Jadwisię, poświęcasz ją złudnym i błahym pozorom. Rozporządziłaś losem Jadwisi, niepytając mnie o radę, a jednakże miałam tego prawo wymagać od ciebie, wiesz jaki nas układ łączył... Dziś jedna mi pozostaje tylko droga, na cierpienie dziecka, które tak kocham, obojętnie patrzeć niemogę... Bóg widzi jeden, jak dla mnie bolesne postanowienie, które czynię.... Widzę iż zbyteczną tu jestem.... więc opuszczam Podgórnę!... — I sama jakby przygnieciona tem postanowieniem, zakryła oblicze. I Tekla mówiła prawdę, nad to postanowienie nic dla niej nie mogło być boleśniejszem, sama jedna na świecie, z kochającem sercem, przywiązała się najmocniej do Jadwisi, wcielając całą przyszłość swoją w jej szczęście tylko, i dziś zrywała tę nić piękną, rzucając się w życie samotne bez przyszłości; lecz czyż mogła nieuczynić podobnego postanowienia? cóż jej innego pozostało uczynić?...

Hrabina nigdy niespodziewała się coś podobnego usłyszeć, niesądziła Teklę zdolną do tak stanowczego kroku, myślała, że Tekla nieznajdzie nigdy na tyle w sobie mocy, aby się oderwać od Jadwisi, którą tak kochała. Zmieszała się więc niezmiernie postanowieniem Tekli, szybko przesunęły się jej przed oczy wszystkie następstwa, które dotąd, zdało się jej, usunęła zręczną dyplomacyą, a które teraz z całą grozą stanęły przed nią. Więc na nic się nieprzydały te wszystkie skryte i poboczne układy, mylną była ta kręta droga. Tekla odjazdem swoim wikłała całą kabałę, wszystkie piękne plany. I przypomniała sobie hrabina stan krytyczny majątku tak dobitnie przedstawiony przez męża, przypomniała sobie wszystkie plany jego w ułożeniu interesów, które opierały się na pomocy Tekli, a Tekla usunąć się chciała.... groziło to nieochybną ruiną, i spojrzawszy hrabina w tę przepaść, straciła pewność i nieomylność swoją, gotową była do ustępstw.

— Nie... to być nie może — rzekła po długim namyśle — abyś ty nas opuszczała, dla Jadwisi będzie to wielkim ciosem.

— Inaczej być nie może, widok jej smutku i nieszczęścia nad moje siły... a bytność tu moja na nic się jej przydać nie może...

— A moja droga, kiedy już tak dalece trwasz w przedsięwzięciach swoich, to chociaż z wielką przykrością, zezwolę na odroczenie tego związku do jakiegoś czasu; Jadwisia pozna bliżej Ernesta, i ty sama może zdanie twoje odmienisz.

— Dziękuję ci Henryko i za tę zwłokę, lecz ona nie zmieni postanowienia swojego.

— Więc czegóż żądasz? — niecierpliwie spytała hrabina.

— Żądam, żebyś cofnęła słowo dane panu Ernestowi, i żeby Jadwisia, idąc za popędem serca, wybierać mogła.

Oblicze hrabiny straciło zupełnie posągowość, znać było w niej walkę wewnętrzną, a chociaż umiała panować nad sobą, jednakże zmarszczki na czole mówiły dobitnie, iż miała trudny wybór, iż walczyła stojąc przed Rubikonem.

— Przystając na warunki twoje, dam ci dowód wielkiego przywiązania — z widocznym przymusem odrzekła w końcu.

— Więc przystajesz! — z dziwnem wzruszeniem zawołała Tekla, chwytając Henrykę za rękę, by ją do ust przycisnąć. — O! dzięki Bogu, Henryko, słowem twojem wróciłaś życie biednemu dziecku!...

— Przystaję, niezmieniając zamiarów moich i sądzę, że ty nawzajem nie będziesz przeszkadzać Ernestowi w pozyskaniu względów Jadwisi.

Tak się skończyła owa stanowcza rozmowa, hrabina wyszła z niej wprawdzie niezupełnie zadowolnioną, pocieszała się jednak, bo tak wierzyła w zalety Ernesta, iż była przekonaną, że niemi zyska serce Jadwisi.

Tekla, wyszła z dziwnym spokojem; łza drżała na jej powiekach, a uśmiech anielski rozjaśniał jej oblicze... spełniła jeszcze jedno zadanie życia.

XI.

Nadeszły straszne dni lutowe......

Na ponurem tle nieba przeciągają chmury ciężkie, ołowiane, wiatr wpoł ciepły chmury, te niby kiry żałobne olbrzymie, rozbite nad senną jeszcze ziemią, przerzuca i układa w fantastyczne draperye. Czasem tuman mokrego śniegu zawieje, czasem słońce błyśnie chłodnem spojrzeniem, i—jakby przerażone tem co się na ziemi dzieje, wnet kryje się w nieprzejrzanych chmur kłębach.

O! bo też dni straszne przyszły na tę biedną ziemię, dni Kaimowe, w których krew niewinnych ciekła strumieniem, w których z konających jękami mięszały się dzikie okrzyki pijanej tłuszczy! Dni straszne, w których łuny palących się kościołów i domów oświecały demoniczne bachnalie! w których wszystko, co tylko jest piekielnego w ludzkiej piersi, rozbudzono z uspienia, aby uzbroić bratobójcze dłonie, aby plamą krwi skazić sumienie ciemnego ludu.

Lecz nie będziemy się wdawać w historyczny przebieg tych dni okropnych... serce zbyt boleśnie krwawi się jeszcze, przed pracą taką ręka trętwieje...

. . . .

Drogą do Łozin na spienionym koniu co sił pędzi Józef, koń gnany niecierpliwą rękę jeźdźca, rozcina żylastą piersią tumany śniegu. Józef, pochylony naprzód, z gorączkowym niepokojem przynagla biegu konia, w jego twarzy wyraz boleści nie do opisania, czoło sfałdowane pod naciskiem złowrogich myśli..... u boku jego z olstrów świecą rękojeście pistoletów...

W boleści, w szalonej rozpaczy pędzi tak Józef, bo wszystkie wielkie nadzieje rozprysły się przed jego oczyma, wszystko, czemu życie poświęcił, ku czemu biło ogniście jego serce, zawiodło, przyszła rzeczywistość straszna, której nikt nieprzeczuwał, której się nikt w dniach nawet największej rozpaczy niespodziewał. W chwili czynu był Józef na umówionem miejscu, lecz zastał kilku tylko... lud niebyło.

I wnet przybiegły do nich krwawe wieści o mordach i rabunkach... i wszystkie plany ich zniweczone zostały... Każdy, posłuszny głosowi serca i obowiązkom, pobiegł nieść pomoc tym, którzy pośród niebezpieczeństw pozostali na wsiach.

Józef odjechał do Łozin.

Pilno — pilno mu było, każda chwila wiekiem mu się zdawała.

Wszystko, co widział po drodze, tylko go większą napawało trwogą... i przerażeniem...

Płonęły dwory i ku niebiosom jasna biła łuna, a wśród szumu płomieni i trzaskających iskier słychać było okrzyki pijanych, żądających krwi i łupów...

Po drogach wiły się tłumy uzbrojone w cepy i widły... szły na nowe mordy....

Krew ścinała się w żyłach Józefa, bieg konia zdał mu się leniwym.

Wreszcie dojechał do Łozin... Chaty we wsi, dawniej tak ożywione, zamknięte były szczelnie, nikt nie wyszedł jak dawniej serdecznem pozdrowić go słowem, przez drobne szyby spoglądały tylko trwożnie starce i kaliki, czasem z chaty odzywał się ryk głodnego bydła.

Józef dojechał do dworu, i nieśmiał spojrzeć przejęty złowrogiem przeczuciem. Koń, poznawszy siedlisko swoje zarżał wesoło, i niewstrzymany przejechał przez wrota, i stanął przed gankiem dworu. Wtedy popatrzył Józef do koła i zachwiał się na siodle przed straszną rzeczywistością.

Boć okropny to był widok zniszczenia...

Dwór, jak trup olbrzymi — bo potłuczone szyby lub ramy wyjęte z okien, czarnemi otworami jak martwem okiem na świat patrzyły. Drzwi dworu leżały na ziemi, znać mocą dobyte, bo ściany na okół porąbane, na deskach podłogi ganku walały się żerdzie i drągi, i ślad wypalonego ogniska z potłuczonem naczyniem, i duża plama krwi zaschła, którą znać było i na śniegu, dalej leżały stoły i sprzęty różne, porąbane, pogruchotane, pośród kupy gruzów, potłuczonych szkieł i błota. I nad tem wszystkiem osiadła cisza śmierci i grobów, tylko wiatr zajęczał czasem przebiegając przez puste pokoje, lub pozostała kwatera w oknach zaskrzypiała na zawiasach złowrogo.

Zeskoczył Józef z konia i wpadł do środka dworu. Tu równie okropny widok... porąbane podłogi wyjęte do gruntu, ściany poobdzierane, i podziurawione, kupy rumowiska, śmieci i potłuczonych sprzętów walały się wszędzie. Józef co żywo biegł do sypialni ojca!. .... drzwi, oparte na jednej zawiasie, wzbroniły mu przechodu, i przygotowały do widoku, który miał zobaczyć. Wszedł Józef i zakrył oblicze, — na jednej ścianie ujrzał dużą plamę krwi... Zakrył oblicze i stał tak w boleści chwilę długą... długą jak wieczność...

W miejscu, gdzie stało łoże jego ojca, kupa popiołu, a ściany poczernione dymem, i próżna rozbita beczułka, mówiły, że tu musiała się odbywać jedna z tych scen piekielnych, do której wódka upoiwszy zmysły dodawała odwagi, sił i ochoty.

Przebudził się Józef w końcu z długiego letargu i przebiegł błędnem okiem po tych ścianach, które były świadkami tylu chwil szczęśliwych jego życia, do których tyle wiązało się jego wspomnień... po tych ścianach, wśród których mieszkał ojciec jego, a dziś w tym świętym przybytku dla niego, te kupy gruzów, mówiły do niego okropnemi słowami, co się tu dziać musiało...

Na jednej tylko ścianie nad ową plamą krwi pozostał krzyż z czarnego drzewa, z wizerunkiem Zbawiciela, wisiał tak jak dawniej równie miłosiernem boskiem obliczem patrząc na ten obraz zniszczenia, znać ręka Kaimów nieśmiała się targnąć na niego. Józefowi na widok krzyża dziwne uczucia w pierś wbiegły, serce ścisnęło się, jakby pęknąć miało pod naciskiem tych uczuć, upadł na kolana, i zalewając się łzami szeptał jakąś wielką skargę... i gorącą modlitwę.

A w koło wicher miotał śniegiem przez otwarte okna, rozwiewając resztki popiołów, wył złowrogo wśród pustego szlacheckiego dworu....

Modlitwa i łzy wróciły Józefowi siłę i energię ducha, straszną rzeczywistość, zimną objął rozwagą, poznał, iż trzeba było działać łzy i skargi nic już pomódz nie mogły, powstał więc szybko i przebiegł powtórnie wszystkie pokoje, sądząc, iż może znajdzie kogo dla dowiedzenia się szczegółów. Lecz głos jego echo tylko roznosiło po pustym dworze.

Wybiegł Józef przed dom i spojrzał — na całej równinie żywej nie było duszy...

Lecz chwili nie było do stracenia, zastanowił się Józef nad tem, co mu czynić pozostało, wśród tych gruzów zostać nie mógł, trzeba było szukać ludzi i dowiedzieć się o losie ojca. Ale koń, gdy zsiadł z niego Józef, jak zwykle odszedł do stajni, udał się więc za nim Józef. Biedne zwierzę przed pustym żłobem smutnie rżało czekając ludzkiej ręki. Stajnia była również zniszczona, ani jednej sztuki bydła, tylko pies wynędzniały, poznawszy Józefa, przyczołgał się łasząc i wył żałośnie u nóg jego.

Józef wyprowadził konia ze stajni, i jeszcze kilka razy odezwał się donośnie, i już miał odjeżdżać, gdy z ponad gęstych krzaków ogrodu od strony stodoły poruszyły się gałęzie i nieśmiało wychyliła się ludzka głowa, i za chwilę potem wyszedł Marcinek. Zobaczywszy go Józef przyskoczył ku niemu, a poczciwy chłopiec, blady, wynędzniały, z wyrazem okropnej trwogi na twarzy, zalewając się łzami, chwycił go konwulsyjnie za ręce...

Marcinka wychował Józef od lat najmłodszych i lubił go bardzo, a widok jego w tej chwili, wśród tej boleści i niepewności jaka nim szarpała, rozrzewnił go i pocieszył niezmiernie, i przytulił chłopca do piersi.

— Pan żyje jeszcze!.... o jam myślał, że już pana nigdy nie będę widział!... — jęczał Marcinek, po rękach i nogach całując Józefa.

— Marcinku! co się tu stało!... mów! mów! gdzie pan?...

— O panie! panie! co się tu działo, tego nikt nieopowie.. oj! myśliłem, że już tak umrę, bom się skrył przed niemi, i drugi dzień już nic niejem... bo mnie chcieli zabić. Oj! dobrze że pan tu przyjechał, ja pojadę z panem, ja tu niechcę zostać, bo oni może przyjdą jeszcze! i zabiją mnie!...

— Ależ gdzie mój ojciec! co się z nim stało?!....

— Gonili za mną! i odgrażali się... oj panie, weź mnie ztąd...

I trwożnie obłąkanem okiem spojrzał Marcinek do koła, przyciskając się silnie do nóg Józefa.

— Nie bój się... nie bój Marcinku — uspakajając go przydał Józef — ale na miłość Boga, mów co się z panem stało?

— Starego pana! o panie! oni zabili strasznie! i nie bronił im się... ino kazał drzwi zamknąć a sam ukląkł przed krzyżem i modlił się... stałem panie tak przy nim. Drzwi rozrąbali i wpadli do pokoju... i byli by mu może nic niemówili, ale był pomiędzy niemi jakiś, co się śmiał z nich kiej pozdejmowali czapki, widząc pana modlącego się do Boga, i podmawiał ich jakimś okropnym językiem, i obiecywał pieniądze jak go zabiją, toć jeden przyskoczył i uderzył go siekierą... i pan upadł... niewidziałem nic więcej, bo mi się czarno w oczach zrobiło, i uciekłem, a oni gonili za mną.

Józef słuchał tych okropnych słów Marcinka, i ściskały się pięści jego kurczowym ruchem, pierś to się podnosiła, to opadała nagle, a w oczach zdawało się, że pioruny błyskały.

— Zkądże oni przyszli? — spytał w końcu niecierpliwie.

— O byli z różnych wsi panie, nasi z początku niechcieli rabować, i wójt przyszedł do dworu, i coś długo z panem gadał, ale chłopstwa zaczęło się coraz więcej schodzić, i przyjechał jakiś na wozie z wódką i zaczął poić i podmawiać, i obiecywał im dużo pieniędzy, a najwięcej odgrażał się na was panie, żeście podobno panie przystali do Polaków, i chcecie lud mordować po wsiach. To mu też i uwierzyli w końcu, zabili pana i wzięli z sobą skrwawionego strasznie i kajś pojechali...

— Dokąd?!... Dokąd?!...

— Oj niewiem, bom do stodoły uciekł, i schowałem się w słomę, i przez cały dzień jeszcze słyszałem krzyki, a pod noc uciszyło się jakoś, alem nie śmiał wyjrzeć na świat, bom się bał, że mnie zabiją, i dopiero jakem was panie po głosie poznał, tom wyszedł. Oj! uciakajmy ztąd, bo może nadejdą jeszcze — i Marcinek na te wspomnienia powtórnie przycisnął się do Józefa, a wyraz niewypowiedzianej trwogi na twarzy jego osiadł.

Józef głęboko się zamyślił, śmierć straszna ojca w tym ciągłym zawodów łańcuchu, była ciosem dla niego wielkim, śmierć ta podwójną w jego piersi rozbudziła boleść, krew do skroni biła namiętnie, w oczach żal i rozpacz malowała się bez granic. I w tej chwili myśl jeszcze jedna błysnęła mu nagle, aby jeszcze szarpać jego sercem, wspomniał Podgórnę i mieszkańców pałacu. Na wspomnienie to zawahał się chwilę w postanowieniach swoich, cios ojca już był nieodwołalny; prócz wielkiej boleści nic nie miał dla niego, wszystkie uniesienia już były zbyteczne, a tam może jeszcze mógł zdążyć na czas, mógł przynieść pomoc. Gorącą łzę żalu otarł z oczów i wskoczył na konia.

— Panie!... panie na Boga weźcie mnie z sobą — zawołał rozpaczliwie Marcinek — ja tu nie zostanę, koło stodoły jest koń, co go nie wzięli, ja pojadę z wami.

Wziął Józef Marcinka z sobą, i równie szybko popędził wśród zamieci śniegowej do Podgórny.

Po drodze spotykał ciągle gromady chłopów, które już uciekały na widok jego, lub też przepuszczały go z złowrogiem milczeniem, były to pojedyńcze atomy tej tłuszczy, które, jak letnie na niebiosach chmury, spotkawszy się i zbiwszy w większe masy, skry i gromy rzucały.

Dojechawszy przed bramę ogrodu w Podgórny, zastał ją już zamkniętą szczelnie, po za nią na całym dziedzińcu przed pałacem tłumy wiły się wieśniaków uzbrojonych w cepy i widły; jedni stali, drudzy leżąc na ziemi grzali się przy rozpalonych ogniskach razem z dziećmi i kobietami. Lecz postawy ich nie były napiętnowane tem rozbestwieniem, które owłada ludzi opojonych krwią i rabunkiem, ani też wściekłością lub zawiścią, przeciwnie pogrążone były w jakiejś trwodze i przerażeniu.

Gdy Józef pośród nich wjechał, poodkrywali przed nim z uszanowaniem głowy, a ci, którzy go znali, serdecznem witali słowem. Widok ten pokrzepił trochę Józefa, i pozdrowiwszy ich wzajemnie spytał co się tu działo.

— Nic panie! tylko chodzą wieści, że tam po innych dworach zabijają i rabują, to my się zeszli tutaj ze wsi, żeby naszemu państwu co złego się nie stało — spokojnie odpowiedział jeden z gromady.

— Poczciwi ludzie! — odparł Józef — Bóg wam to wynadgrodzi.

— Albo my to mało od dworu łask doznali? alboż tu nie mieszka nasza panna, co każdego poratowała w biedzie, opatrzyła w chorobie, ona to jak matka nasza... i my by jej niebronili... a dyć to człowiek ma serce przecież...

— My tu już drugi dzień tak pilnujemy — przydał inny z gromady — i niedali my im przystąpić, choć tu przychodziła gromada od tego przechrzty, i namawiała żeby rabować, i państwo zabić i odstawić do miasta. To byli niektórzy co ich chcieli posłuchać, a Stach urlopnik to już zmawiać zaczął, ale my go powiązali i leży w piwnicy.

— Oj złe panie nastały czasy — przerwał starzec o siwych jak mleko włosach, i z drewnianą nogą — za cóż nas Pan Bóg tak ciężko karze, że swój powstaje na swego! przecieżem po różnych bywał krajach i zapamiętam naszego naczelnika co po krakowsku chodził, a niewidziałem jeszcze takich gwałtów, oj źle! źle! bo tam na niebie jest Bóg, co będzie sądził...

Zsiadł Józef z konia i wszedł do pałacu.

Cała rodzina hrabstwa zebraną była w jadalnej sali. Leon pomieszany, blady chodził żywo wzdłuż pokoju, trąc zachmurzone czoło, zajęty myślami. Na boku, na kanapie leżała wpół przytomna hrabina, załamała rozpaczliwie ręce, a pierś od czasu do czasu podnosiła się jej konwulsyjnem westchnieniem, u jej nóg klęczała Jadwisia, mając łzy w oczach. Pocieszała matkę, a w twarzy jej nie było znać najmniejszego zwątpienia ani trwogi. W drugim rogu pokoju, otulona, drżąca, blada, bez przytomności, z przewróconym wsłup wzrokiem siedziała Francuzka, wzdrygając się co chwila, lub zakrywając oczy, jakby chciała odganiać jakieś widma. Pośrodku nich, Tekla, co była spokojną, na pomarszczonem jej czole osiadła boleść i ciężki smutek, w oczach jednak było pełno rezygnacyi, ona zachowała całą moc ducha, i przytomność umysłu.

Jakaś otucha wstąpiła we wszystkich na widok Józefa. Leon przywitał go z radością. Jadwisia oblała się rumieńcem. Tekla podała mu rękę mówiąc:

— Miałam przeczucie, że pan przyjedziesz, a ojciec? Józef załamał ręce i głowę pochylił na piersi.

Wszyscy z trwogą i przerażeniem spojrzeli na niego.

— Więc? — wyrwało się z kilku ust naraz.

— Niebyłem wtedy w domu, zobowiązanie trzymało mnie na innem stanowisku, gdy nadzieja powstania znikła, wróciłem do domu i zastałem gruzy tylko....

— Co się stało? — spytał Leon.

— Nie wiem sam dokładnie, tylem się tylko mógł dowiedzieć od przerażonego chłopca, iż gromada chłopów napadła na bezbronnego ojca..... i zginął straszną śmiercią...

Hrabina bez przytomności upadła na kanapę. Jadwisia zachodząc się od płaczu zaczęła ją cucić.

Leon zbladł, potarł czoło, i przeszedł się po pokoju. Francuzka krzyknęła z przerażenia i zakryła oblicze.

— Panie Józefie — rzekła Tekla z współczuciem podając mu powtórnie rękę — cios to wielki dla pana, lecz wytrwaj pan po męzku, wytrwaj pan, jest Bóg, co boleści nasze liczy, co cierpienia nadgradza!...

— O pani! pierś pęknąć może od nawału tylu klęsk i cierpień naraz! są chwile, w których wszystko z pod nóg się usuwa, chwila obecna jest jedną z tych; wszystko zawiodło, żadna niespełniła się nadzieja, i przyszła straszna rzeczywistość... zdawałoby się, że już nie ma przyszłości dla nas!...

— Więc to wszystko jest prawdą, jest rzeczywistością — rzekł Leon — nie wieścią tylko, więc się to dzieje, więc oni mordują?

— Tak! — głucho odparł Józef — lud podbechtany przez nienawistnych nam ludzi, a jako lud nieoświecony i ciemny, do tego upojony i zachęcony rabunkiem, rzucił się w zbrodnie.

— Co robić?... co robić?... — spytał Leon.

— Uzbroić się i czekać — odparł Józef — zresztą niema tutaj niebezpieczeństwa, o przyjaznem usposobieniu włościan z Podgórny sam się przekonałem rozmawiając z nimi, z ust wszystkich słyszałem tylko słowa poczciwe i łagodne, ich niema się co obawiać, nawet na ich pomoc zawsze liczyć można, a resztę zdać na Opatrzność Bożą należy.

— Ty wierzysz ludowi? — z goryczą odparł Leon — po tym ciosie, który cię dotknął, a przecież na ciebie skarżyć się nigdy nie mógł.

— O! wierzę, że zbrodnie dokonane, nie są wypływem samowoli ludu, jest inna ręka, która tem ślepem narzędziem śmiertelne zadaje nam ciosy.

Tymczasem hrabina przyszła do siebie, i zwykłe marmurowe oblicze jej kurczyło się od bolesnych a gwałtownych wewnętrznych wrażeń, wstała z kanapy i rzekła urywanym głosem:

— Nie!... ja tu niezostanę!... ja niechcę tu zostać. Leonie! jedźmy do miasta...

— Miałem myśl tę samą, lecz...

— Pani hrabino — przerwał Józef — jest to myśl prawie niemożebna do wykonania, po drogach snują się tłumy pijanego chłopstwa, i co krok grozi największe niebezpieczeństwo.

— Nie! nie, uchodźmy ztąd, bo oni nas tu napadną, oni nas zabiją... — urywanie mówiła hrabina.

— Ależ tutaj przynajmniej się bronić można, a w tej myśli przyjechałem tutaj: służbę się uzbroi, a przy odwadze można powstrzymać nie jeden napad.

— Uciekajmy! uciekajmy! — zawołała pani Guerlin, która w przerażeniu swojem jedyną tę tylko myśl pojęła.

— Tutaj jest pewność wszelka — ciągnął Józef dalej — a gromada tak przywiązana do państwa niedopuści zbrodni.

— Ja niewierzę im, ja chcę jechać koniecznie!.... dziś zaraz...

— Błagam panią, racz się pani zastanowić tylko, na jakie nieochybne wystawiasz się niebezpieczeństwo w drodze, wśród pól jakaż może być obrona w razie napadu.

— Ależ zostać tutaj... każda chwila jest śmiercią, a tak przejechawszy, w mieście przynajmniej z tej okropnej myśli otrząść się można.

— Mamciu! niech mamcia usłucha pana Józefa — błagała Jadwisia — tu nam się nic złego nie stanie, tu nas chłopi będą bronić...

— Pan Józef ma słuszność — przydała Tekla — tu nie grozi żadne niebezpieczeństwo, jestem przekonaną, że gromada nam sprzyja. A, jak mówił pan Józef, uzbroiwszy ludzi dworskich, możemy się oprzeć napadowi, w drodze zaś ocalenie jest niemożebne...

— Panie Leonie — rzekł Józef zwracając się do hrabiego — racz wytłumaczyć pani ten zamysł, ja całą obronę biorę na siebie, a jeżeli jest możebność ocalenia, to tylko tu na miejscu.

— Ja niewiem.... ja myślę że lepiej by odjechać, ja chłopom niewierzę, a w mieście przynajmniej...

— Ależ zanim się do miasta dojedzie?!...

Jadwisia i Tekla popierały zdanie Józefa chcąc odwieść od tego ryzykownego pomysłu, lecz hrabina uchwyciła się go jako ostatniej deski ratunku, było to w jej usposobieniu bardzo naturalne, przejęta grozą i strachem, nie miała na tyle mocy duszy, aby przetrwać chwilę niebezpieczeństwa, nie miała w sobie ani tej wyższej rezygnacyi, ani hartu polskiego. Te długie chwile trwogi i niepewności zabijały ją moralnie, zresztą jakże to trudno w chwilach takich mieć zimną rozwagę i krew zimną! Podobnież i Leon; trzcinowaty jego charakter uginał się przed tym nawałem krwawych zdarzeń, a niemając męzkiej energii i siły, rad chwytał pozorną deskę ratunku, która się nawijała.

— Pojedziemy zaraz — stanowczo kończyła hrabina, i zadzwoniła, gdy wszedł służący rzekła szybko:

— Kazać zaprzęgać do kocza cztery konie...

Służący osłupiał na ten rozkaz i stanął jak wryty.

— Zaprzęgać jak najprędzej... czego stoisz?...

— Ależ proszę JPani hrabiny gdzie tu jechać, wszędzie rabują tylko, i teraz niedawno przyszedł chłop i mówił, że po drogach zabijają

— Idź kazać zaprzęgać — kończyła hrabina nieuważając na jego mowę.

Starał się Józef jeszcze odwieść hrabinę od tego zamiaru, lecz perswazye jego nic nie pomogły, i hrabina, udając się do swoich pokojów, rzekła:

— Wyjeżdżamy zaraz, idź Jadwisiu przygotować się do podróży. Czy ty jedziesz z nami Teklo?

— Nie! — odrzekła Tekla — miałam tyle dowodów przywiązania od tutejszego ludu, że mu zaufać mogę! Zresztą nie widzę w tym środku ocalenia, jeżeli mi Bóg śmierć przeznaczył, niech się dzieje jego wola, a obecnością moją mogę powstrzymać lud błądzący od drogi zbrodni i grzechu.

— Mamciu! ja zostanę z ciocią... — cicho wymówiła Jadwisia.

— Ty jedź Jadwisiu — przerwała jej Ciotka — matki opuścić nie możesz.

— I ja pojadę! — przebudzając się z otrętwienia zawołała Francuzka — ja niechcę tu zostać... Pani hrabino weź mnie z sobą.

— Pojedziesz Jadwisiu — dodała hrabina — chcę cię mieć przy sobie... i ty jedź z nami Teklo.

— Nie... nie, zostanę... głos wewnętrzny każe mi pozostać.

— Skoro powóz zajedzie, wyjeżdżamy — kończyła hrabina.

— Pozwolą państwo — rzekł Józef zwracając się głównie do hrabiny — że im w drodze towarzyszyć będę, jeżeli może nie będę zdolny odwrócić niebezpieczeństw, to przynajmniej mogę je powstrzymać. Dziś, gdy krajowi służyć nie mogę, gdy ojciec mój zginął już śmiercią męczeńską, szczęśliwym będę, jeżeli życiem mojem chociaż... chociaż państwu użytecznym się stanę.

Hrabina spojrzała na niego z wzruszeniem, może po raz pierwszy szlachetne wyrazy przebiły się aż do jej serca, może po raz pierwszy w życiu wspaniałość i poświęcenie pokazały jej świat inny, kazały ocenić charakter Józefa. Schyliła głowę jakimś wewnętrznym przygnieciona wyrzutem i wyszła. W oczach Jadwisi zaświeciła łza perłowa, pierś się jej z wzruszenia podniosła i nie mogąc opanować wewnętrznego wzruszenia przystąpiła do Józefa i podała mu drobną rączkę swoją.

— Dziękuję panu!... za matkę...

Józef do ust przycisnął rączkę, lecz tego nikt nie widział, wszyscy bowiem wyszli przygotowywać się do drogi.

W niespełna pół godziny zajechał kocz przed pałac, zaprzągnięty czterma dziarskiemi końmi. Równocześnie też w tłumie zebranego ludu widzieć można było żywe poruszenie, zbijały się gromadki i radzono, a na wszystkich twarzach osiadł smutek jakiś i boleść. A gdy się wszyscy powtórnie w salonie zebrali, wszedł służący oznajmiając, że kilku najstarszych z gromady pragnie się stawić przed państwem. Hrabina po niejakim oporze zezwoliła na tę zwłokę. Wszedł sołtys z przy-

siężnymi, Jędrzej i ów z siwym włosem dawny kościuszkowski żołnierz.

Sołtys wystąpił naprzód, schylił się kornie przed hrabstwem i Teklą, i odgarniając z czoła włos siwy rzekł nieśmiało:

— Przyszliśmy tu od gromady prosić jasnych państwa aby nieodjeżdżali, bo im się tu nic złego nie stanie. I spojrzał — prośba ta zdziwiła wszystkich.

— My tu nieodejdziemy od pałacu i będziemy do ostatniego bronić, jeżeliby kto chciał krzywdę państwu robić, ale niech jasne państwo zostaną z nami...

Leon ujęty prośbą wieśniaków przystąpił do nich i odrzekł:

— Dziękuję wam bardzo za wasze dobre serca.

— O niebójcie się JPaństwo, my tu niedopuścimy żadnego nieszczęścia, prędzej się zabić damy...

— Leonie — rzekła po francusku hrabina — odpraw ich, bo niemamy czasu do stracenia, odjeżdżamy zaraz.

— Już i nas namawiali, i nam obiecywali różnie, ale my się nie damy uwieść, albo my to mało łask od dworu doznali... oj!... nie odjeżdżajcie od nas.

— Jeszcze wam raz dziękuję, lecz ważne interesa wzywają nas do Lwowa i odjechać musimy.

— O nie, my wiemy — dodał jeden z przysiężnych— nam JPaństwo nieufają, myślą że my tak zrobimy jak inni. A dyć my to najstarsi z gromady, i poprzysiądz możemy, że żaden z nas nieodstąpi państwa.

— O tak! tak — przydał Jędrzej — my was nieodstąpimy. Państwo zawsze byli dobrzy dla nas. W nieszczęściu, w chorobie człek zawsze miał ratunek i pomoc, to my dobrodziejstw niezapomnieli i chcemy....

— Nie... nie, moi drudzy... musimy jechać.

— Ależ w drodze to nieszczęście może prędzej spotkać — oj! posłuchajcie naszej prośby.

— Jedźmy! — wstając rzekła hrabina.

— O! JPaństwo — zawołali wszyscy rozkrzyżowując przed nimi ręce — tam was zabiją! my już was nigdy widzieć nie będziemy! — a Jędrzej dodał zwracając się do Jadwisi — o dobra panienko! i wy nas opuszczacie, oj! zostańcie! zostańcie!... co się tu z nami bez was stanie. Biedni my, biedni!

Jadwisia odwróciła się, aby łzy otrzeć.

— Oj ciężka przyszła na nas dola!... kiej we dworze nie będzie już nikogo...

— Ja z wami zostanę moi ludzie — odrzekła Tekla, a oczy jej anielskim świeciły blaskiem...

— O! dziękujemy wam, dziękujemy JPani!... wyście matką naszą.... O! Bóg wam zapłać JPani, my was nieodejdziemy, będziemy w dzień i w noc pilnować i nic wam się złego nie stanie, bo wyście matką naszą, bo my was kochamy...

I objęli jej kolana, całując po rękach i nogach.

A Tekla stała dziwnie wzruszoną, łzy płynęły po jej spokojnem obliczu, uśmiech wyższego szczęścia na jej ustach igrał... i cicho szepnęła wznosząc w górę natchnione oczy.

— Boże! Boże! miłosierdzie twoje bez granic, w twojej dłoni nadgrody i kary, cierpienie i spokój z twej woli płyną tylko. I dałeś mi za tyle boleści chwilę wielką, wielkiego szczęścia, praca życia niezmarnowana! dałeś mi doczekać żniwa dobrego zasiewu! Ojcze i Panie!... i kiedyż się ulitujesz już nad całą ziemią naszą!

Prośby gromady nic niepomogły, po pożegnaniach z Teklą wsiedli do kocza hrabstwo z Jadwisią i guwernantką, koło nich na koniu uzbrojony jechał Józef. Wieśniacy zebrani przed pałacem z smutkiem i boleścią żegnali odjeżdżających. Kilka kobiet, zanosząc się od płaczu, całowało rękę Jadwisi, która ich z pojazdu żegnała.

Dzielnym kłusem pomknęły konie za bramą.

Z początku nie było żadnych przeszkód w drodze, wprawdzie spotykali uzbrojonych chłopów, lecz po kilku tylko, i ci na ich widok schodzili z drogi.

Tak ujechali więcej jak milę i spokój zaczął powracać wszystkim.

Wsie, przez które przejeżdżali, po większej części były wyludnione, dwory spustoszone, a niektóre dymiły jeszcze ostatkiem pożarów...

Słońce schylało się ku zachodowi, w gęste mgły zimowe...

Droga była coraz gorsza.

Gromady chłopów zaczęły się coraz liczniejsze pokazywać.

Józef jechał na przodzie, zbrojna i odważna jego postawa zbudzała trwogę... ale większe gromady, z niechęcią, leniwie ustępywały z drogi, złorzecząc i odgrażając się zuchwale.

Józef, z odwiedzionym pistoletem w ręku, rozganiał te masy chciwe krwi i łupów...

Ujechali znów blisko milę...

W tem drogę przerzynał mały potok, który zebrał znacznie przez odwilż i śniegi, na potoku stał most, most do koła otoczyło blisko czterdziestu wieśniaków...

Znać stali tu już czas dłuższy, na boku paliły się ogniska, przy których pijanych leżało kilku, kilka kobiet i dzieci. Bryczka połamana i przy niej dwa konie stały przy drodze, a na drodze okropnie pokrwawiony leżał trup obdarty...

Oblicze wszystkich zwierzęce, dzikie, wściekłe, nabrzękłe od wódki i mordów — uzbrojeni w kosy, widły i cepy, ubiory dziwaczne, znać z rabunku jak na maskaradę!...

Leon i hrabina na widok ten pobledli bardzo.

Jadwisia zaczęła się modlić!...

Dojeżdżając do mostu kocz musiał stanąć, kilku wieśniaków wzbroniło przejazdu...

Okrzyk dzikiej radości rozległ się do koła.

Józef w tej chwili był przy drzwiczkach powozu.

— Co robić?! — trwożnie spytał Leon.

— Ratuj! ratuj nas pan! — mdlejąc zawołała hrabina.

Józef spojrzał na Jadwisię, spojrzał na nią tym wzrokiem, w którym wymówił wszystko, co grało w jego piersi, i spiął konia...

— Z drogi!... bo śmierć! — krzyknął silnym i stanowczym głosem, podnosząc pistolet w górę.

Chłopi zmieszani odważną i groźną jego postawą, przerażeni wzrokiem, w którym silna błyszczała determinacya, usunęli się prędko.

Nad tłumem bezdusznym tylko żelazna zapanuje ręka.

— Jedź! — krzyknął Józef na woźnicę.

I kocz ruszył szybko.

Józef, chcąc tłum powstrzymać od pogoni, stanął na koniu na poprzek mostu.

Lecz chłopi z chwilowego przerażenia już przyszli do siebie, żądza krwi i łupów zawrzała w ich piersiach.

Groźny, dziki, wściekły okrzyk wyrwał się z ust wszystkich naraz:

— Zabić go! zabić!...

Józef stał jak słup kamienny, ani zadrżał.

— Śmierć temu, kto przystąpi!...

Lecz groźba ta niezdolną już była powstrzymać rozjuszonej tłuszczy, kilku odważniejszych rzuciło się naprzód....

Józef strzelił... jeden chłop z roztrzaskaną czaszką upadł na ziemię...

Drugi okrzyk wstrząsnął powietrzem, okrzyk długi, bez końca...

I w tej chwili ściągnięto Józefa z konia...

I zaczęła się straszna walka...

. . . .

Kocz już był daleko.

Równocześnie inną drogą, żywo pomykała bryczka, zaprzęgnięta paradną czwórką anglesów. W bryczce siedział blady Ernest.

* * *

Tu koniec naszego szkicu.

Potok krwi i łez zalał krainę całą, z łona narodu najszlachetniejsze ginęły ofiary, żałoba rozpostarła się nad całą krainą.

W niedoli ogólnej, w tej boleści wielkiej, giną i drobnieją losy osób występujących w tym szkicu. Lecz mamy nadzieję, że przynajmniej kilka zacnych czytelniczek naszych raczyło im nieszczędzić współczucia swojego, dla nich więc w kilku słowach uzupełniamy opowiadanie.

. . . .

Hrabiostwo szczęśliwie dojechali do stolicy. Hrabina zachorowała śmiertelnie, doznane wzruszenia zachwiały jej fizycznością do gruntu. Niepomogła i podróż za granicę, w rok później zgasła we Włoszech. Hrabia, stratą żony dotknięty boleśnie, powrócił do Podgórny, lecz uregulowawszy interesa, oddawszy Jadwisię zupełnie pod opiekę ciotki, pojechał do Włoch.

Józef, poraniony i zbity okropnie, odstawiony do urzędu, dzielił los tylu innych, rok dopiero 1848 uwolnił go z więzienia.

Powrócił do Łozin ten sam jak pierwej, z równym zapałem, z równą miłością dla ludu, i czując jeszcze większą ważność kwestyi.

Dusze wzniosłe, nieznają nienawiści.

Tekla, otoczona miłością i błogosławieństwem ludu, pracowała ciągle, a mając Jadwisię przy sobie, kształciła ją i cel jej życia nie był zmarnowanym.

Józef, przyjeżdżał często do Podgórny, miłość jego nie była już tajemnicą, i Jadwisia nieukrywała uczuć swoich.

W kilka lat później, na stopniach ołtarza pobłogosławił im kapłan.

Tekla bawi przy nich, i są szczęśliwi o tyle, ile nam tułaczom tej ziemi Bóg, pozwolił być szczęśliwymi.

Dom ich odznacza się polską gościnnością, i serdecznem przyjęciem. Józef pośród sąsiadów ma mir i szacunek powszechny.

. . . .

— A Ernest?

Ernest dobrowolnie zrzekł się Jadwisi. Zaszłe wypadki odstrychnęły go do reszty od kraju, do majątku swojego nieprzyjeżdża nigdy.

Nie ożenił się dotąd, i rozmaicie o tem mówią, nie przestał być jednak przedmiotem wielu skrytych projektów.... Lecz wszystkie te projekta zrobią pewnie fiasco...*).

KONIEC.

*) *Sprostowanie ważniejszych pomyłek drukarskich w powieści: „Ciocia Tekla“:*

Nr. 28: stronnica 8, szpalta 2, wiersz 12 od góry, zamiast: ceną, czytaj: sceną. Nr. 30: str. 7, szp. 1, w. 34 od g. z.: mową c.: miarą; str. 8, szp. 1, w. 3 od dołu, z.: *c' est une excellente partie*, c.: *c' est un excellent parti;* str. 8, szp. 1, w. 2 od dołu, z.: *a tà Edvige*, c.: *a ton Hedvige*. Nr. 32: str. 7, szp. 1, w. 32 od g., z.: mówię, c.: marzę; str. 8, szp. 2, w. 17 od g., z.: uspienie, c.: cierpienie. Nr. 33, str. 6, szp. 2, w. 7 od g., z.: nożach, c.: ciosach. Nr. 34: str. 6, szp. 2, w. 11 od d., z.: jeszcze, c.: jemu; str. 7, szp. 1, w. 13 od g., z.: męzkim, c.: ciężkim. Nr. 35: str. 7, szp. 2, w. 8 od g., z.: nosiła na sobie salopę, c.: nie nosiła salopy; str. 7, szp. 2, w. 18 od g., z.: potrzebował, c.: pilnował; str. 7, szp 2. w. 24 od d., z.: swojej, c.: wrodzonej; str. 8, szp. 1, w. 22 od g., z.: na niego, c.: na nogi. Nr. 36: str. 6, szp. 1, w. 35 od g , z.: mała była, c.: malała; str. 6, szp. 1, w. 45 od g., z.: znajomość, c.: znajomość świata; str. 6, szp. 1, w. 16 od d., z.: Euzebia, c.: Zenobia; str. 6, szp. 2, w. 18 od d., z.: Mirego, c.: Merégo; str. 7, szp. 2, w. 7 od g., z: najdalszej, c : niejakiej; str. 8, szp. 2, w. 6 od d , z.: my drogą, c.: tę drogą. Nr. 37: str. 6, szp. 2, w. 12 od g., z.: nudziła się tego wieczora, c.: cieszyła się na ten wieczór; str. 6, szp. 2, w. 39 od g., z.: skończył, c.: zaczął; str. 7, szp. 1, w. 30 od g., z.: był, c.: legł. Nr. 38: str. 6, szp. 1, w. 16 od g., z.: nocy, c.: zorzy; str. 6, szp. 1, w. 35 od g. z.: usnął, c.: usnął na wieki; str. 6, szp. 2, w. 8 od g., z.: poręcz, c.: poryw; str. 11, szp. 2, w. 22, od d., z.: jeszcze, c.: stanowczo; str. 11, szp. 2, w. 18 od d., z.: kochasz, c.: nie kochasz.

Opisanie ryciny mód paryskich za miesiąc wrzesień:

(Dołączyliśmy rycinę mód przy Nrze 37).

Tualety spacerowe. *Ubranie pierwsze:* Suknia w kratę zieloną z białem, materyalna; spodnica z odcinaną falbaną, nad którą garnirowanie z czterech falbanek w zęby wkładanych i obszytych zieloną wstążką, również jak i dół sukni. Mantylka takaż jak i suknia, i jednakowo garnirowana. Kapelusz zielony gros-de-Naplowy, ubrany szarfą koronkową i lila astrami. — Kołnierzyk i zarękawki batystowe gładkie. Rękawiczki glansowane.

Ubranie drugie: Suknia z ciężkiej materyi koloru orzechowego, zwana „Gabrielle“ oszyta aksamitem czarnym i guzikami takiemiż. Szmizetta i zarękawki haftowane. Kapelusz czarny, zdobny piórami i pąsowemi kwiatami. Rękawiczki glansowne.

Ubranie trzecie małej dziewczynki: Sukienka szafirowa zdobna potrójnem oszyciem z tejże materyi u dołu, zrobione *à l' enfant* z epoletami; siatka na głowie takiegoż koloru co suknia, szmizetka i zarękawki gładkie.

W następującym kwartale zamieszczą się w piśmie naszem następujące przedmitoy:

Autora rozprawy o językach wschodniej Galicyi: „O Języku Ojczystym“.

Turskiego Jana Kantego: „Klaudyna Potocka“ krótki życiorys; „Marya Kazimiera“ monografia, „Wieśniaczka“ powieść.

Szujskiego Józefa: „Żony Zygmunta Augusta“ monografie, i „Zwiady literatur i sztuk pięknych, pogadanki w dziedzinie estetyki.“

Lubowskiego Edwarda: „Konkury wiecznie trwające“ będące w pewnej analogii z „Konkurami z nudów“, i monografią „Bony Sforzy“.

Prócz tego rozpoczniemy systematycznie umieszczać Przeglądy literatur, swojskiej i obcych.

Później nastąpi *Karola Szajnochy:* „Donna Rozanda“, opowiadanie historyczne z dziejów polskich.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. **Antoni Rother.**